

Mirostław  
Kulisz

Dlaczego  
ogórek  
nie  
świeci



LIRA  
WYDAWNICTWO

**Dlaczego  
ogórek  
nie  
świeci**

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68342-00-0

**Mirostław  
Kulisz**

**Dlaczego  
ogórek  
nie  
świeci**

**L I R A**  
WYDAWNICTWO

Postaci przedstawione w tych historiach są fikcyjne.  
Naprawdę.

*Marcie*



## DZIECKO KUKURYDZY

— Oczy czarne, życie marne — wołały za nią ciotki.

— Patrzaj to, latawica jaka — wzdychała babka.

— Oczajdusza! — pojękiwał dziadek.

Bo oni wszyscy by chcieli Lidkę zatrzymać. Zamknąć. Zakneblować. Uczesać by ją chcieli w jakieś warkocze durne. Jakieś kłosa czy inne przekładańce. W sukieneczkę błękitną przyoblec. Jak do zdjęcia usadzić, na zydelku. I siedź mi tu. Ani mru-mru.

Takiego wała!

Bo Liwki w życiu nie dogonią. Bo Liwka biegnie. Liwka biegnie tak, jakby stale na rowerze jechała — nie wolno za bardzo zwalniać, żeby się nagle nie wyrócić.

Lipiec pachniał rozgrzaną karoserią zielonego fiata. Na stacji benzynowej mieli lizaki o smaku coca-coli. Parę kropel benzyny rozprysnęło się wokół wlewu paliwa. Ojciec starł płamę wierzchem dłoni. Potem wszystko, czego dotknął, znaczył benzynowym śladem. Jak sikający benzyną kocur.



Co roku ta sama droga. Mokre, Hubale, Wychody. Liwka знаła to na pamięć. Powtarzała sobie pod nosem:

— Mokre Hubale, Mokre Hubale...

— Co tam znowu dziamolisz? — Ojciec odwrócił się od kierownicy i próbował potargać jej włosy. Ale Liwka uchyliła się zręcznie. — Dzikus!

Paula spała z policzkiem rozplaszczonym na szybie.

Za Kosobudami zjazd w dziurawkę i dalej już telepali się powoli, prosto na Czarny Wygon.

Po obu stronach drogi ciągnął się nieprzebyty gąszcz kukurydzy. Grube strzeliste łodygi stały zbite ciasno, jedna w drugą, wyprężone niczym kukurydziane wojsko. Wietrzyk smyrał leciutko jasnozielone liście.

Dom stał pod samym lasem. Fiat doturlał się, zadygotał i ucichł.

— No! — sapnął ojciec i przeciągnął się, aż trzasnęły kości.

Liwka otworzyła drzwi i krzywiąc się, ruszyła w swoich granatowych baletkach przez rozjeżdżone trakto-rem podwórko. Środkiem płynęła cienka strużka gnojówki. Liwka zawsze potrzebowała paru dni, żeby przywyknąć do tych wszystkich smrodów. „Panienka z gówienka”, śmiała się tamtego lata Ceška od sąsiadów.

— Ale to wyrosła! — Dziadek wylażł z obory i szedł, wycierając ręce w sztywną od brudu, kraciastą koszulę. — Chodźże no, dziadka uściskaj!

Podeszła z oporami, uchyliła się od krowiastego buziaka.

Cieszyło ją wyłącznie, że uwolni się od starych na te trzy tygodnie. To było na plus. Bez dwóch zdań. Jasne, że wolałyby wakacje spędzać z najlepszymi przyjaciółkami.

Liwka, Gunia i Misia w szkole trzymały się razem. Na przerwie chodziły we trzy pod rękę, a jako wyraz najwyższego zaufania zdradziły sobie nawzajem tajemne kody do swoich zamykanych na szyfr pamiętników. Co nie przeszkadzało im pisać jedna na drugą oskarżycielskich listów.

L. do G.: „Zauważyłam, że spacerujesz z Miśką już drugą przerwę beze mnie. Smuci mnie to ogromnie”.

M. do L.: „Czy to prawda, żeś jej wszystko o Maćku wypaplała, papło jedna niemyta? To był nas obu największy sekret!”

To wszystko nic. I tak wolałyby z nimi, a nie tu. Ech.

Co innego Paula; starsza siostra ruszyła pędem przez błocko. Dziadek, babka. Cmok, cmok. Kury, kaczki — taś, taś. Już do obórki z wujem zagłądała. Już mleko ciepłe z cebra podpijała i z wąsem białym hycnęła do dzieciarów w pole.

„Wieśniara!” podsumowała ją w duchu Liwka z niekłamaną wyższością.

— Gonić ją trochę do roboty! — Ojciec mrugał okiem do dziadka, wskazując na Liwkę. — Niech zobaczy, co to prawdziwe życie.

Wyjechał następnego ranka.

Jakaś krowa ryczała w oborze tak głośno, jakby ją zarzynali. Liwka przycisnęła głowę poduszką.

Kiedy wstała, Pauli już nie było. Izba stała pusta. Na kaflowej kuchni stygł ronderek z mlekiem. Liwka naląła trochę do białego garnuszka i podniosła do ust. Błę, kozuch! Próbowwała przez chwilę zdjąć go widelcem, w końcu dała za wygraną. Wylała wszystko z powrotem do garnka.

Najpierw, jak co roku, zrobiła przegląd w izbie. Plastikowe maki kurzyły się w ciężkim kryształowym wazonie. Żółty dmuchany łabędź przysiadł cicho na szafie i wyginał smukłą szyję. Obejrzała, jeden po drugim, delikatne kieliszki marki Bohemia z barwionego szkła, od zawsze stojące beczynnym w babcinym kredensie. Jeden był trochę uszczerbiony. To Liwka go kiedyś uszczerbiła; zdaje się, że nikt oprócz niej po te szkielka nie sięgał. Kiedy się spojrzało przez nie pod słońce, można było zobaczyć cuda. Teraz Liwka obracała kieliszek powoli, podziwiając migocące, węzowe pałace. Połyskliwe mury zapadały się naraz w siebie i odradzały po chwili — nowe, piękniejsze — wystarczał drobny ruch jej nadgarstka. Wyobrażała sobie, jak tańczy po wielkich kryształowych salach. W anielsko kryształowej sukni. Ach, walc. Co za walc! Książę w ciemnozielonym wojskowym mundurze wita się z nią skinieniem głowy. Zaraz poprosi ją do tańca.

Wtem w sieni rozległo się ciężkie człapanie. Liwka pośpiesznie odstawiła kieliszek na miejsce, zasunęła szybkę. „Po co im w ogóle pałacowe kieliszki?!”, zachnęła się. „Na bal i tak by ich nie zaprosili”.

Do izby zajrzała babcia w nieśmiertelnym stylonym fartuchu. Naląła sobie mleka.

— No? Wstałaś to już, dziewczucha? — zadudniła do Liwki z wnętrza obtłuczonego metalowego kubka.

Zaprowadziła ją do ogródka za domem i kazała pielnić grządki z marchwią. Perz, perz, perz, nuda. Jeszcze słońce takie!

Szła Liwce ta robota byle jak.

Wtem aż podskoczyła. Pecyna ziemi, niczym nieduży granat, rozprysnęła się tuż przed nią, aż garść drobinek sypnęła jej w oczy. Odruchowo zasłoniła twarz.

— Odwaliło ci?! — wrzasnęła do Pauli, której czubek głowy wyłonił się znienacka zza grządki z kapustą.

Paula rżała przez chwilę.

Liwka zdusiła w sobie chęć zemsty. Jeszcze załatwi tę kretynkę. Jeszcze jej pokaże.

Ruszyła w kucki przez grządkę, ze wściekłą dokładnością wrywając każdy najmniejszy zielony chwostek, co rwał się z ziemi na świat. Stop! Gdzie mi tu? Tu Liwka porządku pilnuje! I tu też. Poszedł stąd!

Na tej złości grządkę całą w trymiga przeleciała. Na koniec wyciągnęła się wreszcie na miedzy i sapiąc, patrzyła na chmurki. Takie o, mgielki-srełki. Bo niebo jak dzwon. Aż dudnią te błękity.

Liwka sięgnęła do majtek. Pogrzebała chwilę. Był! Pomiędlila w palcach wygniecionego fajka. Zapałki zwędziała z kuchni; cholera, jedna tylko? Dobra, w imię ojca! Trzask. Liwka nabrała dymu w usta. Na chwilę wstrzymała oddech. Przymknęła oczy. Świerszcze dudniły jak oszalałe. Spod lasu terkał sennie traktor.

Z jej ust wyfrunęła chmura.

— Skąd masz, gówniaro? — Paula przyczołgała się nie wiadomo kiedy i wyjęła siostrze z ust szluga. Zaciągnęła się jak stara.

— Nie twój interes! — warknęła Liwka. — Oddawaj!

Paula zrobiła zeza. Zaczęła sztachać się szybko, raz za razem, dychając i kopcąc jak stary parowóz.

Liwka zacisnęła pięści i ruszyła do niej z bojową miną.

Naraz ta małpa zielona przechyliła głowę do tyłu, puściła z dymu koślawe kółko i wyszczerzyła się od ucha do ucha. Liwka odwróciła się na pięcie.

Na ścieżce stał chłopak z mokrymi włosami. Wituś? Witek od Drybałów? Tak. To był on. Ależ wyrósł! Musi mieć już ze trzynaście lat. Albo i lepiej.

— Cześć, dziewczyny! Dacie zapalić? — Szparą między zębami błysnął po cwaniacku. Ale oczy mu się śmiały.

— Może i damy. — Wykrzywiła się Paula.

Ruszyła ku niemu nieśpiesznie. Zdmuchnęła z oczu grzywkę. Zerkając spod oka na Witka, podała mu żarzącego się fajka.

— Twój, że się tak rządzisz? — burknęła rozzłoszczona Liwka.

Witek zaciągnął się z lubością, aż do dna, po czym uśmiechnął się szeroko. Cienka wstążeczka dymu wyfrunęła przez szczelinę w jego białych zębach i zakotyła się w gęstym od upału powietrzu.

— Zawsze tak po pływaniu — mruknął — chce się zaraz palić.

Wziął jeszcze dwa szybkie machy.

Paula wyciągnęła rękę, ale Witek zrobił krok. Ominął ją zręcznie i podał szluga Liwce.

— Dzięki, młoda.

— Liwka!

— Dzięki, Liwka.

Liwka zmrużyła oczy jak mała Chinka.

— Co jutro robicie? — zapytał Witek.

— Jutro? Niech pomyślę... — Paula włożyła palec do ust. — Jutro idziemy na szoping, potem solarka i pazury.

— Wpadnijcie na stawy, na żwirownię. Popływamy, popalimy... — Witek mrugnął do Liwki porozumiewawczo.

I już go nie było.

Zjawiła się za to babka. Liwka ledwie zdążyła ćmika na ziemię cisnąć i bucikiem przydusić. Babka rzuciła okiem na grządki i z miejsca zaczęła pomstować.

— Jezu, co za psiajucha! Coś ty wzięła i narobiła! Gdzie ty oczy masz, dziewczyno!

Babka wertowała stertę chwastów i tylko załamywała ręce.

Okazało się, że te małe zielone knypki to była właśnie marchew. Liwka wyrwała prawie całą. Zostało tylko trochę perzu. Upsik.

W sumie, może i dobrze się stało?, pomyślała Liwka. Babka przegnała ją precz. Może teraz da jej spokój i do roboty już gonić nie będzie.

\* \* \*

No to siup! Cały dzień przed nią. Cztery światy. Ene, due..., baks!, wypadło na las.

Ruszyła za miedzę, na przelaj.

— A gdzie to się nasza panienka wypuszcza?

Przyturlała się do niej Ceśka. Rozdęta i na oko tępa-wa. Gdzie jej tam do Guni czy Misi! Świdrowała Liwkę tym swoim bezczelnym, pasztetowym spojrzeniem.

— Nigdzie. — Wzruszyła ramionami Liwka.

— To niech ze mną pójdzie!

— Gdzie i po co?

— Tam, gdzie psy dupami wodę piją! — zapłuła się Ceśka aż po pachy.

Babka zabraniała Liwce się z Ceśką bawić. Że to la-daco. Że na złą drogę za uszy pociągnie.

Liwka niby Ceśki unikała, ale jakoś tak zawsze się na nią napatoczyła. Jakby ją samo co pchało do tej

baloniary. Wiedziało się, że z Cešką lepiej nie zadzierać. Bo zostaniesz sam, jak ten palec na betonie.

A z palcem tak było:

Chłopaczysków stado dnia jednego na furtce się bujało. Cetniaki, Bojarskie, Chabały. W te i we w tę. Furtka otwarta. Rozbieg. Hop i już jedziesz z piskiem przed siebie. Bam. Furtka z ciężkim kłapnięciem się domyka, aż brama cała dygoce. I następny. I zabawa taka.

Naraz Ceška idzie.

— Daj się pyrgnąć — woła i do furtki się ciśnie.

Ale Darek, bo Chabałów to furtka była, drogę jej zastawia.

— Ty, Ceška, nie! Tyś za gruba. Ty furtkę nam rozpiździsz!

Rechot się ponosi. A Ceška nic. Po niej jak woda. Śmieje się ze wszystkimi.

I dalej — czeski film. Znaczy: nikt nic nie wie. Wszyscy stali. Nikt nie widział. Jak i co. Popchnęła, nie popchnęła?

Dość, że Darek na tej furtce frunie. Hopaj, siupaj! Wiatr we włosy. Jazda, panie gwiazda! I naraz przyspieszenia dostaje. I łubudu! Wali furtka z całych sił.

I cisza.

W sekundę się wszyscy rozpierzchają.

I tylko ten palec. Leży na betonie. Krwią ciurka. Nie wiadomo czyj.



Dopiero za czas jakiś Darek wraca. Że to jednak jego. Palec w łapę chwyta. W chustkę zawija. I tą drugą łapą, w szmatę obwiązaną, zawiniątko podtrzymuje. A szmata cała czarna. I kap. I kap. Krwią czarną przesiąka.

Darek z tym palcem lata. Palec w ręce ściska. Matki po polu szuka. Ale wołać, nie woła. Nic a nic nie gada. Jakby go zatkało. Jakby to język, a nie palec, furtka obcięła.

Dopiero matka za niego krzyczy. Oj, krzyczy, a krzyczy! Rower! Na bagażnik! I biegiem! Jezu, mój Jezu! Zanim się na tym składaczku na pogotowie dotelepali, palec już był czarny.

Nie przyszyli. Za gorąco, pani. Do lodu trza było.

Nikt nie widział. Nikt nic nie wie. Rok już cały minął. Darek do kikuta przywyknął.

Wylazły obie z Ceską wysoko na topolę. Ceśka garść słonecznika wyjęła.

— Na! — Podsunęła Liwce.

Pluły, która dalej.

— Ty, Pauli to już cycki nieźle wywaliło, co nie? — Plunęła Ceśka podwójnie, raz za razem.

Liwka wzruszyła ramionami.

— A ty z którym byś się całowała? Z Bojarskim? A może z Edkiem Kowalikiem? — zachrumkała Ceśka.

— Weź, bo się porzygam. — Liwka udała, że wkłada w gardło dwa palce.

— Ja to bym Witka brała.

— Drybałę?

— Mhm. — Ceśka wydeła swoje grube wargi podobne do dżdżownicy drgającej na haczyku.

— Aleś ty jest głupia. — Liwka wzdrygnęła się leciutko.

Od rechotu Ceśki trzęsły się gałęzie topoli.

W nocy śniło się Liwce, że księgę grubą czyta. Co i raz palec ślini i kartkę przewraca. Strony cienkie, żółtawe. Książka jakby telefoniczna. Czegoś Liwka szuka. Wertuje. Ślup! I dalej. I dalej. I znowuż palec ślini. I nagle... Co jest? Fuja! Palec odkleić się nie chce. Do jęzora się przylepił. I ani go rusz. Szarpie Liwka z całych sił. E, e! Prędszej język wyrwie, niż palec odlepi. Dławi się. Krztusi. Charczy.

Aż się z tego wszystkiego zbudziła.

— Do miednicy idź rzygać, rzygulo! — Paula szarpie ją za pizamę. — Czereśniami się pewnie przeżarłaś.

Noc jeszcze czarna. Poduszka cała mokra. Liwka ciska ją na ziemię. Palce czarne ogląda. Mrówki niewidoczne strzepuje z dłoni.

\* \* \*

A z tej całej wolności, jak zwykle, wyszły nici. Wszystko zabronione!

Na drzewo Liwka weszła, czereśnię skubała. Zaraz dziad z batem przyleciał.

— Już cię ręce świerzbiją? Zostaw! To na przetwory!

Do krów — nie. Bo ją jeszcze rozdepczą.

Prosiątka wuj z targu przywiózł. Ojejcia! Świnki wy moje! Kulgały się jedna przez drugą po betonowej posadzce chlewika. Jak małe różowe pieski. Chce Liwka wejść, pogłaskać — a gdzie tam! Toż zaraz jej pouciekają!

I tak w koło Macieju. Tego nie, tamtego nie. Nie rusz. Nie gadaj. Nie oddychaj.

Co za ludzie!

Paula też miewała humorki. Raz dobra siostrunia, tulunia, kiedy indziej tylko czekała, żeby Liwce nawiać. Chłopaki już jej w głowie. Znalazła się dorosła. Phi.

Tęskniła Liwka za Tadzikiem. Jaki był, taki był, ale zawsze to braciszek.

Pierwszy raz go ujrzała, jak miała dwa lata. Pod kościołem to było, w jakąś letnią niedzielę. Pojechali wszyscy dziadkowym wozem. Była też i matka. Korsun szedł sobie nieśpiesznie. Kto wie, może i dał dziadek nawet Liwce lejce na chwilę potrzymać?

W kościele gorąco, kwękała, wyszły więc z matką na powietrze. Matka papieroska cyk, a Liwka dalejce biegać wokół tego drzewa, co jedyne przed kościołem wyrastało.

— Nie biegaj tak, bo się zganasz — wołała matka.

Ale gdzie tam! Liwka hyc, hyc. Jedno kółko, drugie.

Za którymś razem zza drzewka chłopiec na nią wygląda. Roześmiany, a cały jakby czerwony. To Liwka za nim. Ona hyc. On hyc. I tak się ganiają wesoło. Wreszcie

Liwka zziajana przystaje. A chłopczyk, niezziajany ani troszeczkę, stoi i do niej mruga.

— Kto ty jesteś? — pyta Liwka.

Chłopczyk nic. Tylko się śmieje.

— Będiesz moim braciszkiem?

Chłopczyk nie odpowiada. Ale się zgadza. Od razu to widać.

Ksiądz niepotrzebny. Liwka sama chrzest mu daje.

— Nadaję tobie imię: braciszek Tadzik!

— Z kim ty tam gadasz, Liwka?

— Z braciszkiem.

Matka pod brodę ją wzięła. W oczka surowo zajrzała.

— Z jakim znowu braciszkiem?

— Z czerwonym!

— Matce kłamać będziesz?!

Liwka długo jej tamtego klapsa wybaczyć nie mogła. No bo co ona winna, że matka Tadzika nie widzi?

Odtąd nikomu pary z ust.

Całe lata się razem trzymali. Z tym, że Liwka rosła, a Tadzik jaki był, taki został.

Mały czerwony braciszek do psot był zawsze skory. Zawsze pierwszy. A jak on — to i Liwka za nim. Niegorsza przecież!

Z Tadzikiem nie było nudy.

To on raz wujkowy adapter na stryszku wygrzebał. Pocztówki dźwiękowe sobie z Liwką wysyłali. „Kalifornia, *mon amour*, śmieszne niebo, co nie zna chmur!”

To Tadzik dziadkowe mundury z szafy powyciągał. Z Liwką się poprzebierali. Trata-ta. Generały dwa. Wojsko ustanowili. Marsz, marsz! Trąby grają, na wojenkę zapraszają!

Ach, jak to dziadek zobaczył! Wściekł się jak stado os. Biegał po całym podwórku i wrzeszczał, że Liwce dupę spierze, ale to spierze! Mundur splugawiła!

Siedzieli cicho z Tadzikiem skryci w koronie topoli i patrzyli z góry, jak dziadkowie pół dnia Liwki szukają. Jak strach ich brać zaczyna. Jak wieczór już idzie, a oni z lustrem na kiju wokół studni tańczą. Liwki w ciemnej wodzie wypatrują. Tak długo jej kazał Tadzik na topoli siedzieć, że po zejściu już nie lanie, ale szloch babki tylko, ciepłe mleko i do łóżka niesienie.

Głupio się wszystko skończyło. I to z Liwki winy.

Zła była o coś na Paulę. Ośmieszyła ją ta mała przy wszystkich. Liwka aż gulgotała.

Jak się Tadzik zjawił, Liwka tapczan otwarła i mówi mu:

— Włóż do kopalni! Skarbu mi poszukaj!

Tadzik latarki nie miał. Nosem zaczął kręcić. Bał się. Ale go siłą zamknęła. Ona już lat sześć pannica, on ciągle taki maluch. Klapą go przytrzasnęła i na niej usiadła.

Z początku stukał. Wypuść, siostra!

Potem już nic.

Po co to zrobiła? Z durnoty.

Leżała tak, aż zasnęła.